



Nr. 27.

3-go Lipca

1913.

PIERWSZY „CUD“.

HUMORESKA.

W połowie przedostatniego stulecia znajdował się między wychowancami zakładu św. Sulpicyusza w Paryżu, którzy tam się sposobili do stanu kapłańskiego, także późniejszy ks. Cochin (wymawiaj Koszę), już wówczas znany z swojego wielkiego miłosierdzia dla biednych. Ojciec jego, stary radzca stanu, dawał mu co miesiąc dwie sztuki dwudziestofrankowe na osobiste wydatki. Pieniądze te niebawem zostały zmienione na drobniejszą monetę, która zwolna, ale pewno nieknęła w kieszeni biedaków. Następstwem tej szczodrobliwości było to, że w połowie miesiąca zwykle już Cochin nie miał ani grosza przy duszy.

Pocziwego kleryka tak już dobrze znali ubodzy dzielnicy, że nieomal wszyscy równie dobrze, jak on sam, znali każdorazowy stan jego finansów. Zdarzało się tedy, że w drugiej połowie miesiąca większa część jego ubogich pozwalała mu przejść spokojnie, bez prośbienia go o jałmużnę, a jeśli niektórzy jednak próbowali, wtenczas dobry Cochin zdejmował przed nimi nisko kapelusz, co było niechybnym znakiem, że u niego już pustki w kieszeni.

Pewnego dnia wolnego od nauk, który na nie szczęście przypadł na 25-go, stanęła jakaś kobieta przy bramie seminarium. Jakies bardzo ważne bez wątpienia powody musiały ją skłonić do tego, że w tak niefortunnym czasie zwróciła się z prośbą do miłosiernego młodzieńca. Ach! mąż jej był bez pracy, dwoje dzieci chorych i ani kawałka chleba w domu!

Kiedy seminarzysta się ukazał, podbiegła do niego i zaczęła go prosić, aby się zlitował i dopomógł jej.

Cochin głęboko wzruszony, ale wierny zwyczajowi, ukłonił się jej z szacunkiem i zdjął kapelusz.

— O! — zawołała biedna kobieta, — co ja pocznę! Jesteśmy całkiem opuszczeni, mąż bez pracy, dzieci chore i od dwóch dni nie mieliśmy nic w ustach!

Cochin stanął.

— Mój Boże! — odrzekł, — co robić... Nie mam już ani centyma, dobra kobieto, zapewniam was.

— Zapomniałam, — zawołała biedaczka, — że to koniec miesiąca! Ale cóż to szkodzi!... Księżyczek przecież już na pół święty! Gdyby tak zechciał ie-

szcze raz przeszukać kieszenie, możeby tam z łaski Boga coś dla mnie się znalazło!

Wzruszony jej gorącą prośbą, chce dobry kleryk przekonać ją o prawdziwości swojego twierdzenia i wytrząsnąć kieszenie, o których wiedział, że są puste. Ale, o cudzie! Zaledwie wsunął rękę do kieszeni, a tu brzęk monety dochodzi jego uszu. Ku wielkiemu przerażeniu swojemu wydobywa z niej trzy nowiuteńkie sztuki pięciofrankowe... Wsunąć je w rękę kobiety, było dziełem jednej chwili. Ale ona wcale się nie dziwiła cudowi.

Tymczasem pocziwy Cochin wcale nie był spokojny wobec tego daru czynienia cudów, otrzymanego tak niespodzianie. Pograżony w myślach, wyrzekł się pójścia w odwiedzin do ojca i udał się do kaplicy Najświętszej Panny w kościele św. Sulpicyusza i tam spędził resztę dnia na modlitwie.

Wieczorem wrócił do seminarium, rozmyślając nad szczególnem zdarzeniem, jakie go spotkało. Zaledwie znalazł się na korytarzu, rozległ się ze wszystkich stron okrzyk:

— Oto jest! Oto jest!

W tej chwili wybiegł towarzysz, dzielący z nim pokój, wołając:

— Nareszcie jesteś, kochany Cochin! Ale nawarzyłeś mi piwa! Wziąłeś na siebie moje spodnie, a że twoje są mi za małe, nie mogłem wyjść na miasto.

— Jakto! — krzyknął Cochin, który, jak sobie można łatwo wyobrazić, jakby spadł z siódmego nieba, — ja miałem wiaść twoje spodnie?

— Tak jest, jak ci mówię, a w dodatku w prawej kieszeni znajdowały się trzy nowe, błyszczące pięciofrankówki.

Można łatwo pojąć rozczerowanie biednego Cochina! Niemniej jednak wziął sprawę z żartobliwej strony i opowiedział pokornie i żałośnie towarzyszom całą przygodę swoją ze wszystkimi szczegółami.

Rzecz stała się głośną i doszła także do uszu jego ojca. Sędziwy radzca wezwał do siebie syna i powiedział mu:

— Mój kochany, od przyszłego miesiąca podwajam ci kieszonkowe, abyś, jeśli chcesz czynić cuda, dokonywał je przynajmniej własnymi pieniędzmi. Tymczasem masz piętnaście franków, które czempredzej zwróc swojemu koledze.

Ks. Cochin został później proboszczem przy kościele św. Jakóba w Paryżu i do końca życia pozostał serdecznym opiekunem i ojcem ubogich. Założony przez niego szpital przy ulicy św. Jakóba świadczy do dzisiaj wymownie o jego dobroczynności. O swoim pierwszym „cudzie” nieraz opowiadał, śmiejąc się sam ze siebie, ku rozweseleniu słuchających.



W SALONIE.

On: Wie pani, że ja gdybym kochał jaką kobietę, to rzuciłbym się nawet w ogień dla niej!...

Ona: Zatem pan się jeszcze nie kochałeś...

On: A skąd pani wie?

Ona: Bo byłbyś pan opalony.



NASZE DZIECI.

— Bądź zdrow, Wladek, spieszę na kolej! Już i tak późno!

— Niech ciocia będzie spokojną. Tatusz o całą godzinę naprzód posunął co tylko zegary!



SAMORZĄD I POLAK.

„Jeżeli będziesz grzecznym i dbać stałe o rząd, To przyjadę do ciebie!” — Tak rzecze samorząd. A Polak, płacząc cicho, jak młode pacholę: „To ja już, proszę pana, niegrzecznym być wolę”.



RACYONALNY POWÓD.

— Cóż to się znaczy, że nie kłaniasz się Brzękałskiemu?

— Mój kochany, przecie wiesz że jestem chrześcijaninem, więc kłaniać się bałwanom nie powinienem!



W PIŚMIE SATYRYCZNEM.

— Jak wy się możecie śmiać na to ciężkie czasy?

— Bo pan za delikatnie bierze do ręki nasze dowcipy. Ściśnij je pan z całej siły, a zobaczy pan, że lzy pociekną.



W SZKÓLCE.

— Co widzisz na niebie podczas pogodnej nocy?

— Gwiazdy!

— Dobrze, a czy mógłbyś je policzyć?

— Mógłbym, ale gdyby się zamieniły na talary, i leżały na stole.



W RESTAURACYI.

— Cóż to u was kotleciki takie małe?

— To nie, za to może pan dobrodziej zjeść ze trzy porce...

DOBRA MYŚL.

W wagonie zawiązała się sprzeczka między dwoma staremi babami.

— Jeśli konduktor otworzy okno — wołała jedna z nich — natychmiast padnę trupem.

— Jeśli okno pozostanie dłużej zamknięte — krzyczała druga — apopleksya mnie zabije.

Konduktor wzięty we dwa ognie, nie wiedział, co począć, ale jeden z pasażerów pospieszył mu na ratunek.

— Otwórz pan okno — powiedział — wtedy jedna z nich umrze; następnie zamknij je napowrót, to i drugą djabli wezmą, a my tym sposobem spokój odzyskamy.



MALY BOHATER.

Mama: Stasiu, tyś taki niegrzeczny? Fräulein Berta skarży się, żeś się na nią rzucił i uderzył.

Staś (zawstydzony): To nie, proszę mamusi, ja jej tylko dałem klapsa... na pamiątkę Grunwaldu.



ZNUŻONA.

Pewna wielkoświatowa dama, wracając ze świetnego balu do domu, zastała na biurku list, zawiadamiający o naglej śmierci jej ojca.

Chwilę stała zdumiona, potem rzuciła się na łóżko, wołając:

— Ach, jaka jestem znużona, jutro już będę płakać.



NA MISYE.

— Mamo, czy poganie także noszą spodnie?

— Czemu, moje dziecko?

— Bo gdy wczoraj w kościele ksiądz zbierał składkę na nawrócenie pogan, to tata wpuszczał do skarbonki guzik od spodni.



DUMA ZAWODOWA.

Fabrykant łódzki powraca z podróży. Poraz pierwszy zwiedzał Włochy. Jeden z przyjaciół pyta:

— Cóż, Moryc, Włochy? Reizend — co?

— Dosyć, dosyć. Nieźle.

— A Wezuwiusz? Kolosal, prawda?

— Nnnn! Przesada! Wrażenie — słabe. Moje kominy lepiej kopca.



Z SĄDOWNICTWA.

— Świadkowie są takie osoby, które jakieś zajście widziały ale się na tem nie znają. Rzeczoznawcy są takie osoby, które odnośnego zajścia nie widziały, ale się na niem znają. Sędziowie są takie osoby, które ani odnośne zajście nie widziały ani też na niem się nie znają. Adwokaci takie osoby, które znają się na świadkach, na rzeczoznawcach i na sędziach, a czasem na odnośnej sprawie.



KAŻDEMU KU WYGODZIE.

Fabrykant: Rozumiem. Potrzebujecie panowie płyt pancernikowych, których by kula armatnia nie przebiła. Sprzedajemy tego rodzaju płyty codziennie w wielkiej ilości.

Agent: Nie, pan mnie źle zrozumiałeś. Chce-my, byś nam pan sporządził dział, którego kula prze-biłaby każdą płytę pancernikową.

Fabrykant: O, ależ naturalnie. Tego ro-dzaju prace codziennie wykonujemy i dostajemy na nie liczne zamówienia.



W RESTAURACYI.

Gospodarz: Przepraszam szanownego pana za postępek tego kelnera i proszę, niech szanowny pan sam wyznaczy dla niego karę...

Gość: Hm... owszem, niech jada przez tydzień tylko w pańskiej restauracyi.



IDYOTA.

— Wiesz Władziu, pani generałowa powiedziała mi, że mogę zobaczyć idyotę w lustrze.

— I patrzyłeś?

— Tak.

— I co?

— Niewidziałem tam nikogo, tylko... siebie.



NASZE DZIECI.

Antoś: Proszę mamy, czy to prawda, że nauczyciele są mądrzy?

Mama: Prawda, kochanku.

Antoś: A dlaczego ten pan nauczyciel, co mnie uczy, nie zna abecadła?

Mama: Co ty pleciesz, Antosiu?

Antoś: Jak mamusię kocham! Przecież wczoraj pokazał mi abecadło i pytał się, co to za litera...



MOŻNA TAK I TAK.

Trzech urzędników rosyjskich w Rydze wzbra-niało się stemplować marki z portretem cara ze wzglę-dów czci, winnej monarsze. — Patryoci owi z pewno-ścią zapomnieli, że portret cara jest z tyłu naklejony i mogą go lizać!



DELIKATNY.

— Masz jednak jedną wadę, moja droga żonusi!

— Ciekawa jestem jaką?

— Nigdy nie badasz zawartości kieszeni mego ubrania, gdy się rozbiorę!

— I to ma być wadą?... Inni mężowie wyraźnie to sobie wypraszają!

— Tak!... Masz rację!... Gdybyś tam jednak kiedy zaglądnęła, przekonałabyś się, że prawie wszy-stkie moje kieszenie są dziurawe i wartoby je poze-szywać!

ŻONA JEDZIE.

Pewna pani wybiera się na dworzec i posłala mę-ża po doróżkę. Oczywiście mija dużo czasu, zanim znalazła rękawiczki, wyzwała służącą, pożegnała dzie-ci, udzieliła instrukcyi mężowi i t. d. i t. d. Nareszcie wychodzi na ulicę i spostrzega czekającą cierpliwie doróżkę.

— Co? — powiada, — taką starą szkapą nie jadę!

— Panusiu, — odpowiada doróżkarz, — gdy tu zajechałem, to ta szkapą była młodziuchnem źre-bięciem.



MA SŁUSZNOŚĆ!

— Żonusi, otwórzno, to ja.

— Jak tobie nie wstyd tak późno po nocy wracać do domu!

— Masz słuszość, pójdę się jeszcze trochę prze-wietrzyć.



NASZE DZIECI.

Ojciec (czyta dziennik): To straszna rzecz. Wczoraj wyskoczył z okrętu jakiś przestępca wieziony na karną kolonię, spadł do wody i natychmiast poszedł na dno...

Syn: Musiał być ciężki zbrodniarz, niepraw-daż, papo?



Francya w odwiedzinach u Anglii.



Anglia: Witaj, sąsiedzie, witaj! Ale o spra-wach rewanżu pomówimy innym razem, w obecnej chwili one nas nie zajmują.

Śluszny powód oburzenia.

W domu państwa Kołtuńskich, czcigodnych obywateli jednego z miast pobliskich, bywał codziennym gościem młody akademik, pan Leon, który widocznie „miał się” do najstarszej ich córki, panny Kazi. Ukończyła ona właśnie seminaryum nauczycielskie i oczekiwała w domu na swego królewicza.

Wprawdzie akademik, to zero — jak mawiał ojciec Kołtuński — w przyszłości jednak i to już niedalekiej miał Leos wstąpić na praktykę do sądu, z czasem więc mógł zostać radcą, a kto wie, może nawet i ministrem, jeśli urodził się pod szczęśliwą gwiazdą.

Ponieważ wiadomo, że dzisiaj miłość wciska się w organizm młodego człowieka nie tyle przez serce, ile raczej przez żołądek, dogadzano panu Leonowi, karmiono go i pojono należycie, aby dać mu przedsmak rajskich rozkoszy, jakie go czekają, gdy doprowadzi ich latorośl do ołtarza.

On jednak jakoś się nie kwapił, jadł i pił z apetytem, tusza jego zaokrąglala się coraz bardziej, nie mógł się przecież zdecydować na zrobienie stanowczego kroku.

Napomykano o tem w rozmowie, ale on był ciągle nieczuły.

Wreszcie pewnego dnia poprosił pan Leon ojca Kołtuńskiego o kilka minut rozmowy sam na sam. W całym domu nastala ogromna radość i podniosły anstrój, w milczeniu oczekiwano wyniku narady.

Po kilku chwilach wpadł wreszcie zacny abywateł, czerwony jak burak, a zły jak potępieniec, do pokoju, gdzie zgromadzoną była rodzina, przystanął, odsapnął, i zawołał w wściekłością:

— A to zlakrew łotr, panie dobrodziejaszku! Nie dość, że prawie dwa lata żre i pije za darmo, teraz przychodzi prosić, bym mu pożyczył pięćset koron na wyjazd do Maryenbadu, bo lekarz stwierdził u niego zatłuszczenie serca!...



Czteroletnia Stasia słyszy, jak rodzice rozmawiają o swoim weselu.

— Mamusiu — pyta — a dlaczego ja i Bronis nie byliśmy na tem weselu?

— Jakaś ty dziecinna! — mówi sześćioletni Bronis. — Nie byliśmy przecież proszeni.



LOKAL NIEUK.

— Proszę jaśnie pana, w przedpokoju czeka jakiś żyd.

— Jeżeli z pieniędzmi, to go wpuścić, jeśli po pieniądze, to go wyrzucić! Kiedy ty się służby nauczysz?



U DOKTORA.

Doktor: Na co pan cierpisz?

Pacjent: Nie uczyłem się na doktora, bym znał choroby.



Kuba: Ilu w waszej wiosce jest wesółych ludzi?
Wojtek: Jeden tylko, który w stanie pijanym nogę wykreślił, podskakuje teraz i w piątek.



„Bardzo mi miło” — bez mrugnięcia powiek
Kłamie bezczelnie w twarz bliźniemu człowiek.
A w głębi duszy mruczy sobie z cicha:
„Bodaj cię dyabeł! Wynos się do licha!”



— Kup pan dobrodziej tę kanapę! Ja panu radzę, ja panu każe ją kupić.

— Taki nędzny, stary i drogi grat!

— To jest antyk! to amatorski kawałek! Na tej kanapie sam Napoleon siadywał.

— Który? Pierwszy?

— Czy on był pierwszy, tego nie wiem, ale nazywał się Napoleon Szwaremacher i miał sklepik z galanterią na Żydowskiej ulicy.



Kawaler: Dziękuję, że pan przyjął moje oświadczenia, ale dlaczego pan chce, abym ja Zosię wykradł?

Ojciec panny: Bo wtedy wesele nie będzie mi nie kosztowało.



— Ja tę anegdotę znam.

— Więc dlaczegoż mi pan pozwolił pół godziny opowiadać ją sobie?

— A no... bo przed pół godziną jeszcze jej nie znałem!



NAPIS NA NAGROBKU.

Tu leży ciało rzeźnika złożone,
Który dobrze bił woły, jeszcze lepiej żonę.



NASZE DZIECI.

Gość: Kiedy jadacie obiad?

Hanka: Mama powiedziała, że będzie obiad, jak pan sobie pójdzie.



ZAGADKI TURECKIE.

Tam, gdzie był popas z czerwoną krową,
Zjedzona trawa nie schodzi znowu.

„Dózar”

Na bazarze czarne,
Czerwone zaś w domu,
A kiedy wygarne,
Nie zda się nikomu.

„Wegiel zar i popiół”

